

Marek Jastrzęb

Po-ranne noce (12)

W tym miejscu pozwolę sobie na odskok. Otóż od jakiegoś czasu męczy mnie pytanie: po jakiego grzyba pisarz pisze? Pytanie to jednak męczy mnie krótko, gdyż odpowiadam sobie: pisarz pisze, bo ma coś do powiedzenia. Chciałby trafić do odbiorcy, ostrzec go przed popełnianiem błędów, ma nadzieję, że dotrze do adresata, który potraktuje go poważnie i przejmie się jego słowami. I tak samo powinno być z czytelnikiem: czyta, bo ma przed sobą ważny tekst.

Po tym wtręcie wracam do Orwella. Urodził się w 1903 roku, a umarł w 50. Był też publicystą. Po rezygnacji ze służby (1922-27) w brytyjskiej policji imperialnej w Birmie, podjął działalność pisarską w Paryżu i Londynie. W latach 1936-37 uczestniczył w wojnie domowej w Hiszpanii w szeregach anarchistów. W czasie II wojny światowej był korespondentem BBC; te doświadczenia uczyniły z Orwella pisarza politycznego o przekonaniach demokratyczno-socjalistycznych, przeciwnika wszelkiego totalitaryzmu, zwłaszcza komunistycznego w stalinowskim wydaniu.

Jak wielkim był przeciwnikiem, widać choćby po kłopotach z publikacją Roku 1984. Książka mogła się ukazać dopiero w 1949 roku, zatem ominęła go dzisiejsza sława. Czy mogła ukazać się wcześniej? Jak najbardziej nie! Nie, gdyż w owym czasie nie było odpowiedniego klimatu: obłudna Wielka Brytania i zaślepione Stany Zjednoczone wołały nie denerwować Wujaszka Joe. Jakkolwiek wiedziały o obozach przymusowej i katorżniczej pracy w Związku Radzieckim. Nie mówiąc o Katyniu. Wniosek? Lepiej robić interesy, niż drzeć koty. Lepiej żyć w podnóżkowej pozycji, niż przeciwstawić się złu. Bo gdy zło jest silniejsze od dobra, trzeba mu ulec, trzeba pogodzić się z bezczelną arogancją i wyprzeć się własnych ideałów. Tego nas nauczyli politycy. I uczą nadal.

To oni potwierdzają swoim działaniem „racjonalne” rozumienie reguł rządzących światem. To dzięki nim jesteśmy niefrasobliwą tuszczą. Dyskretnie sterowani, wyrzuci z honoru, patrioci coraz to nowszych generacji, solidni na rozkaz, pragmatycznie radośni – zmierzamy na szafot. Zawzięcie czapkując, fanatycznie i na ugiętych kolanach śpiewając – w błagalnym chórze – tryumfalną pieśń ułożoną przez dzicz. Takie mieliśmy ogłupiające początki dzisiejszych obyczajów.

To dyplomaci i politycy przerobili nas na bezwolną mielonkę z człowieczeństwa. Daliśmy się ponieść mirażom. Wcześniej, jak u

Orwella, zajęli się religią i przekształcili ją w śmiech; dowiedli, że Władza jest nieśmiertelna, a Bóg nie. Władza ustanawia i obala co chce, tworząc świeckie zakrycie; jest wszechmocna i co powie, tego nie ma na prawdę, lecz istnieje na niby.

Hipokryzja w krainach opisywanych przez Orwella jest produkowana na skalę masową. W wyniku wojny atomowej dotychczasowe państwa podzieliły się na trzy strefy wpływów. Jedna, to Oceania, druga – Wschód, trzecia zwana jest Eurazją. W Oceanii, gdzie rozgrywa się akcja antyutopijnej powieści, od niepamiętnych czasów toczone są boje. Od niepamiętnych, rozumieć należy dosłownie, ponieważ nikt już nie pamięta, kiedy się one zaczęły, dlatego je wszczęto i o co się walczy. Władza zadbała o to, by nie wiadomo o przeszłości.

Obowiązuje *hic et nunc*: przeszłość jest zakazana. Specjalne ekipy czyszciceli wydarzeń trudzą się nad jej zamazywaniem. Naginaniem faktów do zaistniałych sytuacji. Na froncie, w gospodarce.

Przy czym powiedzieć wypada, że pomiędzy tymi trzema obszarami nie ma różnic ideologicznych: wszystkie klepią biedę.

Jednak nie każdy, bo ludzie należący do władzy mają się niezgorzej: prowadzą żywot prawie dostatni. Reszta, czyli proletariąt (w nowomowie zwany prolami) zajmuje się podrzędną pracą i jest pogrążona w społecznej stagnacji. Niewykształceni, apatyczni, prymitywni, odarci ze złudzeń, zainteresowań i marzeń, wegetują z dnia na dzień. Lecz sęk w tym, że ludzie ścisłej władzy jest niewiele ponad dwa procenty.

„Archipelag GUŁag”

Aleksander Sołżenicyn, autor tej książki, a zarazem jeden z łagrowiczów, poznał życie od upodlanej strony. Razem z innymi skazańcami doświadczył głodu i morderczej pracy. Wspólnie z pozostałymi wegetował pod presją, w stanie ciągłego zagrożenia, w atmosferze codziennych obaw o dalsze istnienie, jego dzieło było więc niczym kij wsadzony w mrowisko, poruszało bowiem temat trudny dla żyjących. Udowadnia w nim, że w imię przeżycia, człowiek godzi się na rozkład moralny; od chwili pierwszego zatrzymania poprzez oskarżenie, wyrok i namiastkę chwilowej wolności, los człowieka jest przesądzony. Pisze, że nic nie zależy od jednostki, a prawo, to cicha zgoda na bezprawie, bo nawet

umorzenie kary i rehabilitacja nie stanowią gwarancji całkowitego uwolnienia. I o tym jest jego dzieło.

Ale książki tej nie da rady czytać ciurkiem; trzeba – z przerwami, we fragmentach.

Często zabierałem się za jej lekturę i porzucałem ją wielokrotnie, bo nie byłem w stanie wchłonąć tak potężnej dawki pesymistycznych refleksji. Lecz powracałem, odnajdując w niej tyle nagromadzonych niepokojów, dusznej atmosfery i kafkowskiego nastroju bezsilności, iż po przeczytaniu wszystkich rozdziałów nie mogłem oprzeć się myśli, że powinna wejść do lektur obowiązkowych.

Uważa, podobnie jak Orwell, iż takie cechy, jak chwiejny charakter i chęć przeżycia ZA WSZELKĄ CENĘ, sprzyjają systemowi ideologicznej degeneracji narodów. W ten proceder zaangażowany jest cały partyjny aparat zmierzający do tego, by kosztem denuncjacji, a nawet wyparcia się własnej rodziny, osiągnąć cel: skłócić naród, zastraszyć go i zmusić do wzajemnej podejrzliwości, do wysuwania nieprawdziwych zarzutów pod adresem sąsiadów czy współtowarzyszy tragedii.

Jak Winston, orwellowski bohater Roku 1984, pisze, notuje, zbiera materiały, pragnie zostawić ślad. Nie po sobie, ale po czasach, których był świadkiem. Chce przekazać przyszłym żywym pieśń zabitych: przemawia w zastępstwie tych, co przedwcześnie zmarli nie wydawszy głosu, w imieniu zakatowanych, rozstrzelanych i skazanych na bojaźliwą wegetację, a przytaczając ich losy, ocalając je z otchłannej niepamięci, pisze z doskoku, wyrwykami, od okazji do okazji, po kryjomu, w nerwowym oczekiwaniu rewizji. I jest to pieśń – dokument.

Mówi w nim o wszechobecności totalitarnych macek, katordze i największym, bo półtoramiesięcznym powstaniu więźniów zakończonym ich zabicim (700 osób). W ten sposób tworzy obraz sowieckiego zbydlęcenia.

Twórca tej kroniki pisanej emocjonalnym piórem, tego kalejdoskopu wydarzeń, z których można się wiele dowiedzieć o ludzkich przywarach, rejestruje fakty poddając je drobiazgowej analizie. Przedstawia wszechstronne, dogłębne i profesjonalne metody niszczenia ludzi. Ilustruje pokrętnie ścieżki chorych sposobów myślenia. Wwierca się w każdy zrelacjonowany i udokumentowany fakt.

(Dokończenie na stronie 4)